

ELIZA

ORZESZKOWA

KIEDY U NAS O

ZMROKU...

Eliza Orzeszkowa

Kiedy u nas o zmroku...

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

Kiedy u nas o zmroku... / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Przypadkowe spotkanie na cmentarzu prowadzi do dziwnej znajomości. Lekko senne opowiadanie o aniołach, emigracji, śmierci i... w sumie nie wiadomo czym. Los rzuca bohatera do obcego kraju. W obcym mieście rozrywkę znajduje w długich spacerach. Podczas jednego z takich spacerów trafia na cmentarz, gdzie odbywa pełną niedomówień rozmowę z przypadkowo spotkaną nieznajomą pochyloną nad grobem. Kilka miesięcy później spotyka tę samą damę na hucznym balu. Niestety, dla czytelnika niewiele z tego wszystkiego wynika. Eliza Orzeszkowa jest jedną z najważniejszych pisarek polskich epoki pozytywizmu. Jej utwory cechuje ogromne wyczucie problemów społecznych — w mowie pogrzebowej Józef Kotarbiński nazwał ją wręcz „czującym sercem epoki”.

Eliza Orzeszkowa

Kiedy u nas o zmroku...

Na Anioł Pański dzwonią! Dzę-dzę! dzę-dzę! Jakby w powietrzu aniołowie w srebrne skrzydła uderzali! Kto to tak mówił? Kiedy? Co mi to przypomina? A! wiem już, pamiętam! Spotkanie dziwne... strofa daleka...

...Od kilku tygodni byłem mieszkańcem cudzoziemskiego miasta, w którym zająłem pozycję pod każdym względem świetną, i zachodziło ze mną coś wcale niespodziewanego. Pozycja moja była pod każdym względem świetną, a ja sam stawać się zaczynałem pastwą melancholii. Nic zresztą bardzo dziwnego. Zajęcia moje nie posiadały horyzontów, po których myśli bując mogą ze swobodą i szerokością orlą; zyskowne były, ale nudne, oschłe i nie wolne od tej cikliwej przyprawy, którą sporządza wątpliwość: czy użytek czyniony z życia jest dobry, albo zły? Jeszcze nie zupełnie oschło mi było na wardze mleko mrzonek idealistycznych, którym poi się pacholeństwo, a jakkolwiek, pod wpływem złych dni przeżytych i dobrych rad usłuchanych, wszedłem już był na tory życia rozsądne, praktyczne, to jednak niezupełnie jeszcze odoczyłem się zapytywać u wszechświata i wszechstworzenia: czy jest co ponad... półmiskami? W gruncie rzeczy pewny byłem, że jest, i pewność ta, pod gruzowiskiem przeciwnych sofizmatów, leżała na dnie świadomości mojej, milcząc, lecz wydając z siebie niesmak, przeszkadzający w delectowaniu się tem, co było na półmiskach. Oprócz tego, miejsce obce, ludzie nieznanymi lub wczoraj zaledwie poznani, samotność myśli, nie mającej z kim dzielić się spostrzeżeniami, sieroctwo wzroku, zaledwie poczynającego orientować się wśród zjawisk nowych, ani osobliwych, ani pięknych, ani miłych... Miasto duże, ale zbudowane niedawno i w sposób niezmiernie pospolity: proste i długie ulice, proste i długie rzędy kamienic, z prostymi i długimi szeregami okien. Historii nie było tu wcale, artyzmu bardzo mało, życie towarzyskie takie właśnie, do jakiego nigdy pociągu nie uczuwałem, to jest: huczne, szumne, balujące, tańczące; ruch interesów handlowych, biurowych, fabrycznych — ogromny, bogactwo po magazynach i salonach wielkie — w wyniku ostatecznym: nuda i tęsknota. Zaczem tęsknota? Czy ja wiem? Za czemś tak innym niż te ulice, kamienice, fabryki, magazyny, salony i moje własne zajęcia. Zająć tych i tego wszystkiego, co wzamian ich otrzymałem, nie wyrzekłbym się był za nic w świecie, a to, że mi się w ręce dostały, poczytywałem za wielce przyjazny uśmiech losu; jednak, zamiast uśmiechu, czułem w głębi samego siebie ustawiczną, obecność jakiegoś kamienia. Takim to jest człowiek! Ze stękającą zagadką najsprzeczniejszych potrzeb i pożądań, przewraca się on na łożu swoich własnych tworzydeł, nie wiedząc, na którym boku leżeć, bo każdy po swojemu boli!

Ludzie, uczuwający w sobie obecność ciężkich kamieni, posiadają najczęściej tę wspólną właściwość, że błąkają się. Gdy tylko mają trochę czasu, zaczynają błąkać się po różnych miejscach, bez potrzeby i celu. Można widzieć ich i rozpoznawać, gdy krokiem powolnym idą to tu, to tam, to w jedną stronę, to w drugą, na nieznanym im jeszcze ulice, ku gmachom publicznym, ku rynkom ludnym, ku samotnym kupkom drzew, rosnących na polu. Idą bez pośpiechu, wracają bez pociechy, a gdy tylko mają czas, idą znowu, niekiedy w te same miejsca, najchętniej przecież w coraz inne, zaledwie spostrzegając otoczenie, do którego przywiodły ich kroki, wahające się i obojętne. Podobne to jest nieco do zygzakowatych biegów zwierzęcia, szukającego po trawach lekarstwa na dręczącą go chorobę. Człowiek zresztą nie zawsze tylko szuka tego, czego nie zgubił, ale też często próbuje zgubić to, czego nie szukał.

Gdy tylko zajęcia liczne i ważne pozostawiały mi trochę wolnego czasu, najchętniej używałem go na błąkanie się — i dnia pewnego zabłąkałem się aż na pole, otaczające miasto. Był to raczej step bezgraniczny, wypalony przez świeżo przemienione skwary letnie, i na żółtem, gładkiem,

pustem obliczu posiadający uśmiech jedyny, którym była samotna kupka drzew, oblana w tej chwili szkarłatem i złotem zachodzącego słońca. Cisza wiała stamtąd, samotność od świata daleka, spokój, w którym żaden liść nie szeleści. Pomędzy szkarłatnymi i złotymi liśćmi majaczyły czarne linie, zdaleka niewyraźne, lecz niebawem rozpoznałem, że były to krzyże — cmentarz zapewne. Na prowadzącej ku niemu drodze, mało znać uczęszczanej, w żółtych zielskach i uschłych badyłach wił się biały szlaczek wydeptanej ścieżki. Zacząłem więc się razem ze ścieżką, i zaraz spostrzegłem, że czynię to nie sam jeden. O kilkadziesiąt kroków przedemną szła kobieta, której piękną kibić i elegancję ruchów, natychmiast po dostrzeżeniu jej, podziwiać zacząłem. Z przedziwną gracyą unosiła nad zielskami suknię czarną, której jedwabny szeleścik ucha mego dochodził. Cała była ubrana w czerni, i bez wielkiego wyteżenia wzroku dostrzegłem, że włosy nawet, z pod koronek kapelusza, w czarniejszych jeszcze od nich splotach, opadały jej na plecy. Kibić, ruchy, ubranie, sposób podnoszenia sukni objawiały kobietę wytworną, elegantkę. Dlaczego znajdowała się w czystym polu sama jedna? Może, tak jak ja, błąkała się? Lecz z kobietami zdarza się to rzadko. One, ilekroć czują w sobie obecność kamieni, idą śpiewać nad kołyską dziecka, lub mizdrzyć się przed zwierciadłem, lub jeżeli płaczą, to w takim ukryciu, aby oko żadne nie widziało, ucho nie słyszało. Ta przecież może stanowi wyjątek i błąka się... Wyprzedzając mię o kilkadziesiąt kroków, szła pędzej odemnie, więc też wkrótce znikła mi z oczu, zanurzwszy się w kupce szkarłatnych i złotych drzew. Muszę oddać sobie tę sprawiedliwość, że gdy w niewiele minut potem wchodziłem pomiędzy te same drzewa, już ani o niej, ani o niezawodnej obecności jej w tem miejscu nie myślałem wcale.

Cmentarz to był z krzyżami takimi, jakie są w moim kraju, i z napisami na grobowcach w mojej ojczyźnie. Nie zdziwiłem się, bo wiedziałem o istnieniu w tem mieście garści ludzi jednego ze mną rodu, a skoro istnieli, musieli przestawać istnieć i musiało być wszystko, co potem następuje. Lecz rozglądając się po drzewach, ukolorowanych przez jesień, a roziskrzonych przez zachodzące słońce, zapytywałem w myśli: kto i kiedy zasadzał je w pustym stepie, aby nad prochami przybyszów z ziemi dalekiej rozwieszały baldachim z purpury i złota? Jak okiem zarzucić, nic, tylko step niezmierny, pusty, żółty i ten na nim bukiet liściasty, pełen drobnych pagórków na dnie, a u szczytu rozpiętych ramion krzyżów. Na krzyżach, na białych, czarnych, szarych grobowcach — nazwiska, pomiędzy którymi było wiele znanych mi, zasłyszanych, wiadomych, imiona takie, do których pieśczośliwego odmieniania miałem nawykłe usta; gdzieniegdzie werset biblijny, wierszyk sentymentalny, krótkie wołania o modlitwę. Po trawach, świeższych niż w nagim polu, biegły, okrążając mogiły, ścieżki wydeptane, wszędzie rosły krzewy z rzadkim już liściem, lecz wzamian pełne na wpółnagich gałęziach nasion, którym podobne oko moje spotykało już kiedyś, kędyś, na jakichś dalekich polach, drogach. Jagody, czerwone, przypominające kalinę i jarzębinę, albo białe jak śnieg i do kulek ze śniegu podobne, strąki, jak z hebanu, czarne i twarde... Nagle spostrzegłem, że pomiędzy mną i otoczeniem mojem toczyć się zaczęła rozmowa bez słów. Ja wprawdzie zapytywałem czasem w myśli: gdzie? kiedy? co to? kto? — lecz ono nie wymawiało żadnego wyrazu i tylko w panującą tu ciszę głęboką lało mnóstwo dźwięków niewyraźnych, ech rozwiewnych, powiewów, lecących to od wiosny przeminionej, to od zimy dostrzeżonej, — czy ja wiem zresztą? — coś, czego wyrozumieć niepodobna, lecz co łaskotało mi serce pocałunkami rzeczy dawnych, znanych, kochanych, przeminionych, opuszczonych, przypominających się pośród grobów...

Wtem, wśród ciszy niezmierniej, w rozmowę bez słów moją i otaczających mię przedmiotów wmieszał się wyraźny odgłos płaczu. Mogło się zdawać, że z ust zakłętego tu ducha smutku spadł tłumik i wybuchnęły z nich długo więzione łkania. Ktoś niewidzialny, lecz bardzo niedaleki, namiętnie płakał. Może pomocy potrzebował, tem bardziej, że płacz wydawał się kobiecym. Kilkunastu krokami okrążyłem gęsty klomb drzew i krzewów, aż zobaczyłem grobowiec wspaniały i u stóp jego płaczącą kobietę. Grobowiec był z czarnego marmuru, wyniosły, poważny, bardzo kosztowny, a na dźwigającym krzyż czarnym postumencie jego krwawił się pęk świeżych gwoździków i begonij. W kobiecie płaczącej poznałem tę samą, która mię przed kwadransem na ścieżce do cmentarza poprzedzała. Twarzy jej widzieć nie mogłem i teraz, bo ukrywała ją — w chustce cienkiej

i małej, z pod której wyciekające łzy padały na pierś, oblaną wodnymi wzorami czarnej mory. Ręką w długiej, modnej rękawiczce, ścisnęła mosiężny pręt ogrodzenia, lecz oparcie to nie wystarczało do utrzymania w spokoju kibici, wstrząsanej głębokim płaczem. Nad czym grobem kobiety tak płakać mogą? Męża? kochanka? syna? Rzuciłem okiem na napis grobowca. Imię i nazwisko kobiecie; umarła, mając lat 54. Matka! pomyślałem i nie miałem czasu na domysły dalsze, bo kobieta z piękną kibicią, w bogatym, czarnym ubraniu nagle przestała łkać i pochyliła się ku ziemi. Uczyniła wysilenie, aby wyprostować się i — nie mogła; chciała powstać, nie mogła; ręka jej bezsilnie osunęła się z mosiężnego prętu, czoło dotknęło marmurowej podstawy ogrodzenia. Może zemdłała? Znajoma, czy niezajoma, ceremonie na bok! Poskoczyłem i, schylając się nad nią, zcicha zapytałem, czy nie potrzebuje pomocy? Może ramię podać? albo wody przynieść? Ostatnie zapytanie było wśród tej absolutnej pustki absolutnie próżnym, ale myślałem tylko o tem, aby czemkolwiek być jej pomocnym. Na szczęście nie była zemdloną. Zwolna podniosła głowę, obróciła ku mnie twarz zapłakaną i spróbowała uśmiechnąć się.

Czy ktokolwiek zauważył, że istnieje cała kategoria kobiet, które, złapane na gorącym uczynku płakania wnet próbują uśmiechać się. Jest to zalotność, całą potęgę swą widząca w rozweseleniu świata, albo nieufność, wiedząca, że ból jej serca na żadnym innym sercu nie zacieży. Ta, ujrawszy nieznanego świadka swego płaczu, spróbowała uśmiechnąć się, potem powstać, ale na jedno i drugie siły jej zabrakło. Podałem jej obie ręce, oparła na nich swoje i powstała, poczem zaprowadziłem ją do wygodnej ławki, naprzeciw grobowca umieszczonej, na której usiedliśmy oboje. Nie mogłem przecież w stanie, w jakim się znajdowała, zostawić jej samej jednej pośród grobów. Przez parę minut mokrą chusteczką zasłaniała twarz i odwracała ją odemnie, wstydząc się może płaczu swego, albo nie chcąc ukazać zapłakanych oczu. Potem bardzo cicho wymówiła:

— Dziękuję!

A ja na jeden tylko wyraz zdobyć się zdołałem. Wskazując grobowiec, tonem zapytania wymówiłem:

— Matka?

W brzmieniu głosu mego musiało być to współczucie, które było w sercu, bo opuściła rękę z chusteczką i po raz pierwszy zwróciła ku mnie twarz, pomimo zapłakania piękną. Śniadawa brunetka, z rysami może nie doskonale regularnymi, ale z cerą delikatną i cudnymi oczyma, świecącymi, jak szafiry w oprawie podłużnej, pod czarnymi łukami gęstych brwi. Wiek jej określiłem sobie na lat około trzydziestu.

— Tak — odpowiedziała zcicha — to jest mogiła mojej matki.

I zaraz dodała:

— Jaki pan dobry!

— Musiałbym być chyba niepospolicie złym, gdybym nie współczuł wielkiemu żalowi pani...

Smutnie skinęła ręką.

— Już teraz, to nic! Przywykłam. Życie, jak rzeka, toczy się, szumi, a my, jak listki, płyniemy na niem coraz dalej, coraz dalej od tego, co za nami zostało...

Głos jej zadrżał znowu, oczy nabiegły łzami.

Podchwyciłem i dokończyłem myśl jej:

— W szumie życia milkną bóle nasze...

— Ani zupełnie, ani na zawsze nie milkną — zaprzeczyła — powracają, odzywają się, ale w przestankach...

Urwała; w nawpół spuszczonej jej oczach błysnęło coś nakształt ironii.

— Człowiek jest niepospolicie marnym...

— Sąd surowy! — zarzuciłem.

— O samej sobie go wydaję. Prawdziwy.

Oczy jej roziskrzyły się nagle.

— Przecież ja byłam pewną, że jej nie przeżyję, albo przynajmniej, że moje życie będzie już zawsze tylko torturą i żałobą... A potem!

Znowu nie dokończyła i uczyniła ręką gest pogardliwy.

— Wpływ czasu, musu, konieczności... — zacząłem i zapytałem: czy dawno to się stało?

— Wkrótce skończy się trzy lata... W taki piękny zimowy dzień. Słońce świeciło nad ziemią całą, białą od śniegu... Ale po co ja panu to mówię? Co to pana może obchodzi?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.